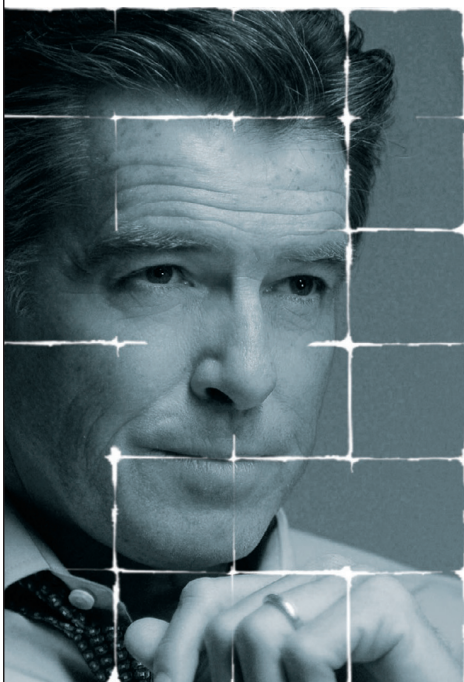


THRILLER SFILMOWANY PRZEZ ROMANA POLAŃSKIEGO

ROBERT HARRIS



AUTOR WIDMO

Rozdział 1

Ze wszystkich zalet zawodu murzyna, z pewnością jedną z największych jest możliwość poznania interesujących ludzi.

Andrew Crofts

W chwili, gdy usłyszałem, jak zmarł McAra, powinienem był wstać i wyjść, teraz jest to dla mnie oczywiste. Powinienem był powiedzieć: „Rick, bardzo mi przykro, ale to nie jest temat dla mnie, zupełnie mi nie leży”, dopić whisky i pojechać do domu. Rick potrafił jednak tak dobrze opowiadać — często myślałem, że to on powinien być pisarzem, a ja agentem literackim — że gdy tylko zaczynał o czymś mówić, nigdy nie ulegało wątpliwości, że będę go słuchał, a gdy nareszcie skończył, już połknąłem haczyk.

Tego dnia Rick opowiedział mi podczas lunchu następującą historię:

Dwa tygodnie temu McAra złapał ostatni prom z Woods Hole w Massachusetts na Martha's Vineyard.

Później wyliczyłem, że to musiało być dwunastego stycznia. Nie było wcale oczywiste, że prom wypłynię. Od południa szalała wichura i odwołano kilka kursów na wyspę. Jednak około dwudziestej pierwszej wiatr nieco osłabł, a za kwadrans dwudziesta druga kapitan postanowił, że może bezpiecznie wyjść z portu. Statek był zatłoczony, McAra miał szczęście, że udało mu się zdobyć miejsce dla samochodu. Zaparkował na dolnym pokładzie i poszedł na górę odetchnąć świeżym powietrzem.

Od tej pory nikt nie widział go żywego.

Przeprawa na wyspę trwa zwykle czterdzieści pięć minut, ale tego wieczoru wiatr znacznie spowolnił wszelkie manewry. Wejście do portu i przybicie do nabrzeża sześćdziesięciometrowym statkiem przy wietrze wiejącym z prędkością pięćdziesięciu węzłów, powiedział Rick, nie należy do przyjemnych rozrywek. Była już niemal dwudziesta trzecia, gdy prom wreszcie przycumował w porcie na Martha's Vineyard i samochody wyjechały z dolnego pokładu. Jeden został: nowiutki, piaskowy SUV ford escape. Główny steward wezwał właściciela przez głośnik, żeby wrócił do samochodu, który blokował innym wyjazd. Gdy ten się nie pojawił, członkowie załogi spróbowali otworzyć wóz. Drzwi nie były zamknięte, więc mogli przepchnąć wielkiego forda na nabrzeże. Później załoga starannie przeszukała cały prom — klatki schodowe, bary, toalety, nawet łodzie ratunkowe. Nikogo nie znaleziono. Steward zadzwonił do Woods Hole, żeby sprawdzić, czy może

ktoś zszedł z pokładu tuż przed wypłynięciem lub przypadkowo został na brzegu — znowu nic. W tym momencie armator promu, Zarząd Żeglugi Massachusetts, zawiadomił Straż Przybrzeżną w Falmouth, że być może pasażer wypadł za burtę.

Policja stwierdziła na podstawie numerów rejestracyjnych, że ford należy do niejakiego Martina S. Rhineharta z Nowego Jorku, który — jak się okazało — przebywał na swym ranchu w Kalifornii. Na wschodnim wybrzeżu była już północ, ale na zachodzie dopiero dochodziła dwudziesta pierwsza.

— Czy to ten Marty Rhinehart? — przerwałem Rickowi opowieść.

— Tak, to on.

W telefonicznej rozmowie z policją Rhinehart natychmiast potwierdził, że to jego samochód. Trzymał go w rezydencji na Martha's Vineyard i używał, gdy był w domu, a latem udostępniał gościom. Przyznał również, że mimo zimowej pory gości u siebie grupę ludzi. Obiecał, że poprosi asystentkę, żeby sprawdziła, czy ktoś pożyczał samochód. Pół godziny później oddzwoniła z wiadomością, że rzeczywiście kogoś brakuje — zaginął niejaki McAra.

Do świtu nie było nic do zrobienia. Nie miało to zresztą znaczenia, bo wszyscy wiedzieli, że jeśli pasażer wypadł za burtę, to pozostaje tylko szukanie ciała. Rick jest jednym z tych irytująco sprawnych fizycznie amerykańskich czterdziestolatków, którzy wyglądają tak, jakby mieli lat dziewiętnaście, i ciągle torturują swoje

ciała rowerami i kajakami. Zna ten akwen: kiedyś w dwa dni opłynął kajakiem całą wyspę — to sześćdziesiąt mil. Prom z Woods Hole przepływa tam, gdzie cieśnina Vineyard łączy się z cieśniną Nantucket. To niebezpieczny rejon. Podczas przyływu dobrze widać, jak potężny prąd ciągnie wielkie boje, tak że kładą się na bok. Rick pokręcił głową. W styczniu, podczas wichury, gdy padał śnieg? Nikt nie mógłby przeżyć dłużej niż pięć minut.

Rano następnego dnia kobieta z Martha's Vineyard znalazła zwłoki na plaży, jakieś cztery mile od portu, w zatoce Lambert. Tożsamość denata ustalono na podstawie prawa jazdy znalezionej w jego portfelu. Był to Michael James McAra, lat pięćdziesiąt, z Balham na południu Londynu. Pamiętam nagły przypływ współczucia, gdy Rick wspomniał o tym ponurym, nieciekawym przedmieściu; ten biedak z pewnością był daleko od domu. Według danych z paszportu, jego najbliższą osobą była matka. Policja zabrała zwłoki do niewielkiej kostnicy w Vineyard Haven, a następnie pojechała do rezydencji Rhineharta, żeby przekazać wiadomość i przywieźć jednego z gości, by zidentyfikował ciało.

To musiała być niezła scena — opowiadał Rick — gdy w końcu jakiś ochotnik spośród gości przyjechał do kostnicy zobaczyć zwłoki. „Mogę się założyć, że pracownicy kostnicy wciąż o tym mówią”. Pod budynek zjechały trzy samochody. Policja z Edgartown przybyła wozem patrolowym na sygnale. W drugim samochodzie jechali czterej uzbrojeni agenci ochrony, którzy

zabezpieczyli budynek. Na koniec podjechał kuloodporny samochód, a w środku siedział człowiek, którego twarz wszyscy natychmiast rozpoznali — zaledwie półtora roku temu był premierem rządu Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej.

* * *

Ten lunch to był pomysł Ricka. Nawet nie wiedziałem, że jest w Londynie, dopóki nie zadzwonił do mnie wieczorem, dzień przed spotkaniem. Nalegał, żebyśmy umówili się w jego klubie. Ściśle mówiąc, to nie był jego klub — należał do podobnego mauzoleum w Nowym Jorku, którego członkowie mieli prawo stołować się w zaprzyjaźnionym klubie londyńskim — ale i tak uwielbiał to miejsce. Podczas lunchu prawo wstępu mieli tylko mężczyźni. Każdy z obecnych liczył ponad sześćdziesiąt lat i nosił granatowy garnitur. Od kiedy skończyłem studia, nie czułem się tak młody. Na dworze zimowe, szare chmury przygniatały Londyn jak granitowa płyta nagrobna. Wewnątrz żółte światło z trzech ogromnych żyrandoli odbijało się od politurowanych blatów, platerowanych sztuków i kryształowych karafek z czerwonym winem. Na stole leżała niewielka kartka z zawiadomieniem, że tego wieczoru odbędzie się coroczny klubowy turniej tryk-traka. To było coś w rodzaju paradnej zmiany warty lub zebrania obu izb Parlamentu — tak obcokrajowcy wyobrażają sobie Anglię.

— Jestem zdumiony, że nie było o tym w gazetach

— powiedziałem.

— Owszem, było. Nikt nie robił z tego tajemnicy. Były nekrologi.

Gdy się nad tym zastanowiłem, przypomniałem sobie, że chyba rzeczywiście coś widziałem. Jednak od miesiąca pracowałem piętnaście godzin dziennie nad nową książką, autobiografią pewnego piłkarza, i przestałem dostrzegać świat poza moim gabinetem.

— Do diabła, dlaczego były premier Wielkiej Brytanii identyfikował zwłoki człowieka z Balham, który wypadł za burtę promu na Martha's Vineyard?

— Michael McAra — obwieścił Rick z emfazą, z jaką przemawia człowiek, który przeleciał trzy tysiące mil, żeby coś powiedzieć — pomagał mu pisać wspomnienia.

W tym momencie, w równoległym życiu, uprzejmie wyrażam współczucie dla starej pani McAra („śmierć dziecka musiała być ciężkim wstrząsem, zwłaszcza dla kogoś w jej wieku”), składałam grubą lnianą serwetkę, dopijam drinka, mówię „do widzenia” i wychodzę na mroźną londyńską ulicę, mając przed sobą całą bezpieczną i niezbyt imponującą karierę zawodową. Zamiast tego przeprosiłem Ricka, poszedłem do toalety i wysikałem się z namysłem, jednocześnie przyglądając się zawieszonemu na ścianie niezbyt zabawnemu dowcipowi rysunkowemu z „Puncha”.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że nie znam się na polityce? — powiedziałem, gdy wróciłem na miejsce.

— No, ale głosowałeś na niego, nieprawdaż?

— Na Adama Langa? Oczywiście, że głosowałem. Wszyscy głosowali. Nie był byle jakim politykiem, tylko najmodniejszym ze wszystkich. Ludzie oszaleli na jego punkcie.

— Właśnie o to mi chodzi. Kogo interesuje polityka? W każdym razie Lang potrzebuje zawodowego murzyna, a nie jeszcze jednego polityka. — Rick się rozejrzył. Zgodnie z żelazną regułą klubu nie wolno było rozmawiać tu o interesach. To stanowiło dla niego poważny problem, ponieważ nie potrafił rozmawiać o niczym innym. — Marty Rhinehart zapłacił mu dziesięć milionów dolarów za te pamiątki, stawiając dwa warunki. Po pierwsze, dał mu na ich napisanie dwa lata. Po drugie, Lang miał ostro skrytykować wojnę z terroryzmem, nie powstrzymując się przed niczym. Z tego, co słyszałem, wynika, że daleko mu do spełnienia obu warunków. Tuż przed Bożym Narodzeniem sytuacja wyglądała tak ponuro, że Rhinehart udostępnił mu swój dom na Martha's Vineyard, żeby Lang i McAra mogli tam spokojnie pracować. Przypuszczam, że McAra nie wytrzymał presji. Według lekarza sądowego, miał we krwi cztery razy więcej wody, niż dopuszcza prawo drogowe.

— Zatem to był wypadek?

— Wypadek? Samobójstwo? — Rick machnął niedbale ręką. — Czy ktokolwiek się kiedyś dowie? Jakie to ma znaczenie? Zabiła go ta książka.

— To dobra zachęta — mruknąłem.

Podczas gdy Rick wygłaszał swoją standardową

przemowę reklamowo-perswazyjną, gapilem się na swój talerz i wyobrażałem sobie, jak były premier stoi w kostnicy i patrzy na zimną twarz swego asystenta — można powiedzieć, że przyglądał się duchowi swego murzyna. Co wtedy czuł? Stale zadaję to pytanie swoim klientom. W fazie wywiadu zadaję je pewnie setki razy dziennie. Jak się czuł? Co wtedy czuł? Z reguły nie potrafią odpowiedzieć i właśnie dlatego wynajmują mnie, żebym dostarczył im wspomnień: pod koniec udanej współpracy to ja jestem bardziej moim klientem niż on sam. Szczerze mówiąc, lubię ten proces: przez krótką chwilę mogę się cieszyć wolnością, jaką daje byciem kimś innym. Dlatego zamiast określenia „murzyn”, mówię o sobie, że jestem czyimś duchem. Czy to wydaje się niepokojące i niesamowite? Jeśli tak, chciałby dodać, że to wymaga solidnego rzemiosła. Nie tylko wyciągam z ludzi różne opowieści, ale również nadaję ich życiu kształt, który wcześniej był często zupełnie niewidoczny; niekiedy nawet nie zdają sobie sprawy, że mieli takie życie, jakie im ofiarowałem. Jeśli to nie jest sztuka, to nie wiem, co należałoby uznać za sztukę.

— Czy powinienem był słyszeć o tym McArze? — spytałem.

— Tak, więc lepiej nie przyznawajmy się, że nie słyszałeś. Gdy Lang stał na czele rządu, McAra był kimś w rodzaju jego asystenta. Pisał przemówienia, zbierał materiały, pomagał w kształtowaniu politycznej strategii. Po dymisji Langa McAra nadal się go trzymał, kierował jego biurem.

— Sam nie wiem, Rick — skrzywiłem się.

Podczas lunchu kątem oka przyglądałem się staremu aktorowi telewizyjnemu, siedzącemu przy sąsiednim stoliku. Gdy byłem dzieckiem, zasłynął z roli samotnego ojca nastoletnich córek w telewizyjnym serialu. Teraz, gdy z trudem podniósł się z krzesła i podreptał do wyjścia, wyglądał tak, jakby miał odgrywać własnego trupa i został odpowiednio ucharakteryzowany. Pisałem wspomnienia takich osób, moimi klientami byli ludzie, którzy spadli kilka szczebli ze szczytu społecznej drabiny sławy lub którym zostało do pokonania jeszcze kilka szczebli, czy też uporczywie trzymali się najwyższego szczebla i koniecznie chcieli wykorzystać te pięć minut sławy, żeby zarobić. Pomysł, iż to ja miałbym napisać wspomnienia premiera, nagle wydał mi się śmieszny i absurdalny.

— No, nie sądzę, Rick — zacząłem znowu, ale on mi przerwał.

— Rhinehart Inc. zaczyna się denerwować. Jutro rano w ich londyńskim biurze odbędzie się konkurs piękności. Sam Maddox przylatuje z Nowego Jorku, żeby reprezentować wydawnictwo. Langa będzie reprezentował prawnik, który negocjował umowę w jego imieniu — to najmłodniejszy cwaniak w całym Waszyngtonie. Bardzo bystry facet, nazywa się Sidney Kroll. Mam innych klientów, którym mogę zaproponować to zlecenie, jeśli zatem nie chcesz go przyjąć, powiedz od razu. Jednak na podstawie tego, co od nich słyszałem, ty jesteś najlepszym kandydatem.

— Ja? Chyba żartujesz.

— Nie. Mogę ci to obiecać. Muszą zdecydować się na jakieś radykalne posunięcie, muszą zaryzykować. To dla ciebie wielka okazja. Sporo zarobisz. Dzieci nie będą głodowały.

— Nie mam dzieci.

— Wiem — odpowiedział Rick, puszczając do mnie oko. — Myślałem o moich.

* * *

Rozstaliśmy się na schodach przed klubem. Na Ricka czekał samochód z kierowcą i włączonym silnikiem. Nie zaproponował, że mnie podwiezie. Podejrzewam, że jechał na spotkanie z kolejnym klientem, któremu zamierzał złożyć dokładnie taką samą propozycję, jak mnie. Czy jest jakiś rzeczownik na określenie grupy murzynów? W każdym razie Rick miał w notesie dużo nazwisk murzynów. Proszę przyjrzeć się listom bestsellerów: zdziwiliby się państwo, ile książek na tych spisach to dzieła murzynów, zarówno powieści, jak i z dziedziny literatury faktu. Jesteśmy ukrytymi rzemieślnikami, dzięki którym kręci się wydawniczy interes, podobni do niewidocznych pracowników Walt Disney World. Jak duchy przemykamy podziemnymi tunelami świata sław i gwiazd, pojawiając się tu i ówdzie przebrani za tę czy inną postać, podtrzymując iluzje Magicznego Królestwa.

— Do jutra — rzucił mi jeszcze Rick, po czym znikł, zostawiając za sobą chmurę dymu z rury wydechowej:

Mefistofeles na piętnastoprocentowej prowizji. Stałem na schodach przez dobrą minutę, nie potrafiąc się zdecydować. Gdybym był w innej części Londynu, nie mogę wykluczyć, że wydarzenia potoczyłyby się inaczej. Stałem jednak w wąskiej strefie, gdzie Soho łączy się z Covent Garden — w zaśmieconym pasie pustych kin, ciemnych zaułków, czerwonych świateł, barów i księgarń. Jest tu tyle księgarń, że można zwymiotować od samego patrzenia na nie: od niewielkich, bardzo drogich specjalistycznych sklepików do ogromnych magazynów tanich książek na Charing Cross Road. Często zaglądam do jednego z tych olbrzymów, żeby sprawdzić, ile moich książek jest na wystawie. Tego popołudnia też tam zajrzałem. Gdy już się tam zatrzymałem, wystarczyły dwa kroki w poprzek przejścia wyłożonego czerwoną wykładziną, żebym znalazł się w dziale biografii i pamiętników. Sam nie wiem, kiedy przeszedłem od półki „sławni ludzie” do „polityka”.

Zaskoczyła mnie ilość książek na temat byłego premiera — zajmowały całą półkę. Mieli wszystko, od wczesnej hagiografii *Adam Lang: Statesman for Our Time* do nowej, zjadliwej krytyki *Would You Adam and Eve It? The Collected Lies of Adam Lang*, tego samego autora. Sięgnąłem po najgrubszą biografię i otworzyłem ją na stronie ze zdjęciami. Lang jako dziecko, karmiący mlekiem z butelki małe jagniątko, obok muru z kamieni ułożonych bez zaprawy. Lang jako Lady Macbeth w szkolnym przedstawieniu. Lang przebrany za kurczaka w rewii Footlights, studenckiego teatru z Cambridge.

Lang jako bankier w latach siedemdziesiątych — wydawał się zdrowo nawalony. Lang z żoną i małymi dziećmi przed ich nowym domem. Lang z kokardą, machający do tłumu z autobusu bez dachu w dniu zwycięstwa w wyborach do parlamentu. Lang z kolegami, Lang z mężami stanu z innych krajów, Lang z gwiazdami masowej kultury, Lang z żołnierzami na Bliskim Wschodzie. Stojący obok mnie łysy mężczyzna w wygniecionym skórzanym płaszczu spojrział na okładkę biografii, zacisnął jedną ręką nos, a drugą wykonał gest, jakby spłukiwał sedes.

Przeszedłem na drugą stronę półki i poszukałem w indeksie „McAra, Michael”. Znalazłem tylko pięć lub sześć niezbyt interesujących wzmianek — inaczej mówiąc, nie było najmniejszego powodu, żeby ktoś spoza partii lub rządu o nim słyszał. Idź do diabła, Rick, pomyślałem. Wróciłem do zdjęcia uśmiechniętego premiera siedzącego za stołem w sali posiedzeń rządu, w otoczeniu pracowników z Downing Street. Z podpisu wynikało, że McAra to dobrze zbudowany mężczyzna w tylnym rzędzie. Głębka ostrości była za mała — widać było tylko niewyraźną, bladą twarz bez śladu uśmiechu i ciemne włosy. Przyjrzałem mu się dokładniej. Wyglądał dokładnie tak, jak wszyscy tacy zakompleksieni faceci, mający wrodzony pociąg do polityki, którzy sprawiają, że ludzie do mnie podobni czytają tylko sportowe strony gazet. Takich jak McAra można spotkać w każdym kraju, w każdym ustroju — stoją za każdym przywódcą i zawiadują polityczną machiną. To ubrudzeni smarem

inżynierowie z kotłowni aparatu władzy. I takiemu facetowi powierzono napisanie pamiętników za dziesięć milionów dolarów? Jako profesjonalista uznałem to za obrażę. Kupiłem trochę materiałów na temat Langa i wyszedłem z księgarni z pogłębiającym się przekonaniem, że może jednak Rick miał rację: to ja jestem właściwym człowiekiem do wykonania tego zadania.

Gdy wyszedłem na ulicę, natychmiast zorientowałem się, że gdzieś w okolicy nastąpił kolejny zamach bombowy. Przez cztery wyjścia z metra przy Tottenham Court Road wypływały strumienie ludzi jak woda z zatkanej studzienki podczas burzy. Ktoś mówił przez głośnik o „incydencie na Oxford Circus”. To brzmiało trochę jak skrzyżowanie komedii romantycznej z grą „War and Terror”. Szedłem dalej, zastanawiając się, jak wrócę do domu — taksówki, niczym fałszywi przyjaciele, zwykle znikają, gdy tylko pojawiają się pierwsze oznaki jakichś problemów. Przed ogromnym oknem wystawowym jednego ze sklepów z telewizorami stali ludzie, oglądając wiadomości na kilkunastu ekranach równocześnie: na zdjęciach wykonanych z lotu ptaka widać było kłęby czarnego dymu i płomień wydobywające się ze stacji metra. Z napisu na pasku na dole ekranu wynikało, że to prawdopodobnie kolejny samobójczy zamach bombowy, jest wiele ofiar, zabitych i rannych. Policja podała numer telefonu, pod który należało dzwonić, żeby się czegoś dowiedzieć lub przekazać informacje. Helikopter krążył i kołysał się nad

dachami. Czuję zapach dymu — ostry, drażniący oczy smród spalin diesla i płonącego plastiku.

Powrót piechotą do domu z ciężką torbą pełną książek zajął mi dwie godziny. Szedłem Marylebone Road, a potem na zachód w kierunku Paddington. Jak zwykle, zamknięto całe metro i wszystkie większe stacje, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie ma bomb. Szeroka ulica była całkowicie zakorkowana, a na podstawie wcześniejszych doświadczeń można było przypuszczać, że tak będzie do wieczora. (Jak dobrze, że Hitler nie wiedział, że do sparaliżowania Londynu nie jest potrzebna powietrzna armada, pomyślałem. W zupełności wystarczy zwariowany nastolatek z butelką wybielacza i workiem środków chwastobójczych). Kilka razy widziałem, jak wozy policyjne i karetki wjeżdżały na chodnik, żeby jakoś dotrzeć do bocznej ulicy.

Włókłem się noga za nogą w kierunku zachodzącego słońca.

Gdy dotarłem do domu, pewnie była już osiemnasta. Miałem dwupoziomowe mieszkanie na najwyższym piętrze wysokiego, ozdobionego stiukami domu w dzielnicy, którą mieszkańcy nazywają Notting Hill, natomiast poczta uparcie używa określenia North Kensington. W rynsztoku poniewierały się stare strzykawki, muzułmańscy rzeźnicy po drugiej stronie ulicy zabijali tu zwierzęta. Nie była to przyjemna okolica, ale z zaadaptowanego strychu, gdzie urządziłem sobie pracownię, roztaczał się widok jak z wieżowca: dachy, dworce kolejowe, autostrady i niebo — rozległy krajobraz

miejskiej prerii, ozdobiony światełkami samolotów lądujących na Heathrow. To ten widok skłonił mnie do kupienia mieszkania, nie zaś gadanina agenta o rosnącym statusie dzielnicy — bogata burżuazja była równie skłonna wrócić w tę okolicę jak do centrum Bagdadu.

Kate już była i oglądała wiadomości. Zapomniałem, że miała przyjść na cały wieczór. Kate jest moją...? Nigdy nie wiedziałem, jak ją mam określić. Powiedzenie, że jest moją dziewczyną, byłoby absurdalne. Nikt po złej stronie trzydziestki nie ma dziewczyny. Słowo „partnerka” też nie byłoby właściwe, bo nie mieszkaliśmy pod jednym dachem. Kochanka? Czy można powiedzieć coś takiego, zachowując powagę? Nałożnica? Dajcie spokój. Narzeczona? Z pewnością nie. Zapewne powinienem już wcześniej zrozumieć, że skoro w ciągu trwającej czterdzieści tysięcy lat ewolucji ludzkiego języka nie pojawiło się słowo na określenie naszego stosunku, to jest to niepokojące. (Nawiasem mówiąc, Kate to nie jest jej prawdziwe imię, ale nie widzę powodu, żeby wciągać ją w tę historię. W każdym razie, lepiej do niej pasuje niż jej prawdziwe imię — ona wygląda jak Kate, jeśli rozumiecie, co mam na myśli — wrażliwa, ale harda, dziewczęca, ale zawsze gotowa być chłopakiem z paczki. Pracuje w telewizji, ale nie miejmy do niej o to pretensji).

— Dzięki za telefon z wyrazami troski — powiedziałem. — Jestem trupem, ale nie przejmuj się tym. — Pocałowałem ją w głowę, rzuciłem książki na sofę i poszedłem do kuchni nalać sobie whisky. — Całe

metro stoi. Musiałem iść aż z Covent Garden.

— Biedaczysko — westchnęła. — I na dokładkę robiłeś zakupy.

Dolałem do szklanki wody z kranu, wypilem połowę i dopełniłem do pełna whisky. Przypomniałem sobie, że miałem zarezerwować stolik w restauracji. Gdy wróciłem do salonu, Kate wyciągała z torby książki.

— Po ci te książki? — spytała. — Przecież nie interesujesz się polityką. — Sekundę później odgadła, o co chodzi. Była bystra, bystrzejsza ode mnie. Wiedziała, jak zarabiam na życie. Powiedziałem jej, że idę na spotkanie z agentem literackim i słyszała o McArze. — Czy zamierzasz mi powiedzieć, że masz napisać jego wspomnienia? — Zaśmiała się. — Chyba nie mówisz poważnie — dodała, próbując zmienić to w żart. — Chyba nie mówisz poważnie — powtórzyła z amerykańskim akcentem, jak pewien tenisista kilka lat temu. Widziałem jednak, że jest zaskoczona i oburzona. Nie cierpiała Langa, czuła się przez niego osobiście zdradzona. Kiedyś należała do jego partii. Zapomniałem o tym.

— Pewnie nic z tego nie będzie — odpowiedziałem i wypilem łyk whisky.

Kate wróciła do oglądania wiadomości, ale siedziała z ciasno skrzyżowanymi ramionami, co zawsze było sygnałem ostrzegawczym. Na pasku pojawił się komunikat: w zamachu zginęło siedem osób, ale policja spodziewała się, że liczba ofiar wzrośnie.

— Jeśli ci to zaproponują, to się zgodzisz? — spytała,

nie patrząc na mnie.

Na szczęście nie musiałem odpowiedzieć, bo spiker zapowiedział, że łączą się z Nowym Jorkiem w celu uzyskania komentarza byłego premiera. Nagle na ekranie pojawił się Adam Lang. Stał na mównicy z napisem „Waldorf Astoria” — wyglądało tak, jakby wygłaszał przemówienie na lunchu.

— Z pewnością wszyscy już słyszeli tragiczne wiadomości z Londynu — powiedział. — Po raz kolejny siły fanatyzmu i nietolerancji...

Nic, co wtedy powiedział, nie zasługuje na przedrukowanie. To była niemal parodia wypowiedzi polityka po ataku terrorystycznym. Jednak patrząc na niego, można było pomyśleć, że to jego żona i dzieci zostały rozerwane wybuchem bomby. Na tym polegął jego geniusz: w jego wykonaniu polityczne komunały wydawały się świeże i wzniosłe. Nawet Kate na chwilę zamilkła. Odezwała się dopiero wtedy, gdy goście — w większości starsze panie — wstali, żeby nagrodzić go oklaskami.

— Co on właściwie robi w Nowym Jorku? — mruknęła.

— Pewnie wygłasza jakiś wykład.

— Nie może tutaj?

— Przypuszczam, że tutaj nikt nie zapłaciłby mu stu tysięcy dolarów za występ.

Kate wyłączyła fonię.

— W dawnych czasach — powiedziała po długim milczeniu — gdy książęta toczyli wojnę, sami ryzykowali

życie w bitwach. Tego po nich oczekiwano, mieli przewodzić, dając przykład. Teraz jeżdżą kuloodpornymi samochodami, z uzbrojoną ochroną, i zarabiają wielkie pieniądze trzy tysiące mil stąd, podczas gdy my musimy znosić konsekwencje ich działań. Nie rozumiem cię — ciągnęła, teraz patrząc mi w twarz. — Po tym wszystkim, co o nim mówiłam w ostatnich latach: „przestępca wojenny” i tak dalej. Ty tylko kiwałeś głową i zgadzałeś się ze mną, a teraz zamierzasz napisać dla niego propagandową książkę, na której znowu zbije fortunę. Czy to wszystko nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

— Chwileczkę. Potrafisz tak znakomicie mówić, ale przez wiele miesięcy usiłowałaś przeprowadzić z nim wywiad. Na czym polega różnica?

— Na czym polega różnica? Chryste! — Kate zacisnęła dłonie — te szczupłe, białe dłonie, które tak dobrze znałem — i podniosła je w geście frustracji, jak pazury lub pięści. Na jej przedramionach pojawiły się żyłki. — Pytasz o różnicę? My chcieliśmy zmusić go do rozliczenia się — na tym polega różnica! Chcieliśmy zadać mu odpowiednie pytania! O tortury, bombardowania i kłamstwa! Nie o to, jak się czuje! Jezu! Ta rozmowa to cholerna strata czasu.

Wstała i poszła do sypialni, żeby zabrać rzeczy, które zawsze przynosiła, gdy zamierzała zostać na noc. Słyszałem, jak wrzuca do torby szminkę, szczoteczkę do zębów, perfumy, dezodorant. Wiedziałem, że mógłbym uratować sytuację, idąc do sypialni. Prawdopodobnie tego oczekiwała; zaliczyliśmy już gorsze kłótnie.

Musiałbym przyznać, że miała rację, oświadczyć, że nie nadaję się do wykonania tego zadania, i uznać, iż w tej sprawie, jak we wszystkich innych, wykazała moralną i intelektualną wyższość. Zapewne nie musiałyby to nawet polegać na werbalnej deklaracji, znaczący uścisk wystarczyłby do zawieszenia wyroku. Jednak szczerze mówiąc, stojąc wobec konieczności wyboru między spędzeniem wieczoru na słuchaniu jej triumfalnego, lewicowego moralizowania a perspektywą współpracy z tak zwanym zbrodniarzem wojennym, wolałem zbrodniarza. Wobec tego po prostu nadal gapiłem się w telewizor.

Czasami śni mi się koszmar — zbierają się w nim wszystkie kobiety, z którymi kiedykolwiek spałem. Powiedziałbym, że ich liczba jest raczej stosowna niż ogromna — gdyby urządzić przyjęcie, wszystkie zmieściłyby się bez problemu w moim salonie. A gdyby, uchowaj Boże, takie zebranie rzeczywiście kiedyś miało się odbyć, Kate z pewnością byłaby honorowym gościem. To ona zasiadłaby na najważniejszym miejscu, usłużne i pełne zrozumienia ręce nalewałyby jej wino. Siedziałyby między zdumionymi kobietami, starannie analizując moje moralne i fizyczne słabości. To ona wytrwała ze mną najdłużej.

Wychodząc, nie zatrzasnęła drzwi, lecz delikatnie je zamknęła. Uznałem to za dowód klasy. Wiadomości telewizyjne właśnie podały, że znaleziono ósmą ofiarę.